TAJNE NAUCZANIE W PARAFII UJANOWICE CZ. 6

Autor: ks. kan. Józef Trela

Rok wydania / powstania: 2005

Sygnatura archiwalna: APU/7ZD/6WH/2005/74

Źródło: Dwustronicowa wkładka historyczna do tygodnika „Gość Niedzielny”

Tajne nauczanie w parafii Ujanowice(6)

Napisał Tomasz Kołodziej w roku 1960

Na początku rzucam nawiasowo parę słów o swoich przygodach podczas pierwszych miesięcy II wojny światowej. Z Gniezna, gdzie dotąd pełniłem służbę w państwowej szkole średniej, wyjechałem na rowerze 3 września, zamierzając schronić się we wschodniej części kraju. Działania wojenne zmusiły mię jednak do pobytu w Warszawie w ciągu pamiętnego września 1939 r. Po zajęciu stolicy przez Niemców dostałem się na Pawiak, a po opuszczeniu wróciłem do Gniezna, gdzie zostałem internowany przez Gestapo. Udało mi się jednak zbiec i ukryć w rodzinnych stronach na pograniczu powiatu nowosądeckiego i limanowskiego – tu też pozostałem do końca wojny w gromadzie Ujanowice.

Już przed I wojną światową z okolicy tej uczęszczała młodzież do gimnazjum w Nowym Sączu. Liczba jej rosła z biegiem lat, to też we wrześniu 1939 kilkudziesięciu uczniów i uczennic z różnych klas gimnazjalnych utraciło możność dalszego kształcenia się. Losem ich zajęto się niebawem. Kolebką i głównym ośrodkiem tajnego nauczania w tej okolicy była wieś Żmiąca, a inicjatorką i główną organizatorką i kierowniczką była pani Zofia Oleksówna. Od samego początku współpracował z nią młody absolwent uniwersytetu pan Zelek Wincenty. Gdy z końcem grudnia 1939 przybyłem w te strony, zastałem już zorganizowane zespoły uczniowskie z kl. I i II gimnazjalnej i I licealnej (według przedwojennego ustroju szkół, razem 16 osób) i naukę odbywającą się w 3 wynajętych izdebkach wiejskich. Wezwany przez pannę Oleksównę, stawiłem się do współpracy i nauka trwała do wiosny 1940 włącznie, następnie uległa przerwie ze względu na rosnące niebezpieczeństwo.

Ukazało się pamiętne zarządzenie gubernatora Franka, wójtem miejscowej gminy został były policjant z Łodzi Chrzan, kat polskiej ludności, za potworne nadużycia przezwany gnojem moralnym. Na najbliższy posterunek przybyli „polscy” policjanci granatowi, spodleni służalcy

niemieccy, zwyrodniali sadyści i pijacy. W krótkim czasie stali się postrachem okolicy większym niż Niemcy, odbywały się drobiazgowe przecząsania domów, wymuszanie łapówek, aresztowania, katowanie a nawet mordowanie ludności. Wprawdzie wójt i wymienieni policjanci prawie wszyscy zostali zgładzeni przez partyzantów z AK w następnych latach wojny, na razie jednak musieliśmy na jakiś czas naukę przerwać.

Gdy jednak miesiące mijały, na polepszenie się nie zanosiło, a młodzież się niecierpliwiła i żaliła, postanowiliśmy – bez względu na niebezpieczeństwo – pracę wznowić z zachowaniem jak największej ostrożności; rozprószyć się po sąsiednich wsiach, potworzyć zespoły drobne, uczyć w małych grupach, by w razie przyłapania liczba ofiar nie była wielka: miejsce często zmieniać, trzymać się chat stojących na ustroniu, tuż przy lesie, który w razie alarmu dałby zaraz schronienie. Trafiało się też tak nieraz. A gdy „stan alarmowy" trwał za długo, nauka odbywała się w parowach i gęstwinach leśnych. Zacząłem na razie naukę we wsi Strzeszyce, lecz musiałem ją często przerywać i pod koniec r. 1942 przeniosłem się do wsi Krosna. Tu warunki bezpieczeństwa były lepsze: dużo lasów, wieś górzysta, rozrzucona, sąsiaduje z powiatem brzeskim, tam można było zbiec w razie obławy w limanowskim. Było to ważne szczególniej dla mnie, gdyż nie byłem nigdzie meldowany i nie miałem „kenkarty", ani żadnego dowodu osobistego. Ponieważ z Gniezna uciekłem z rąk gestapo, mogłem się znajdować na jakiejś tajnej liście poszukiwanych, nadto z groźnym satrapą wójtem Chrzanem wszedłem w zatarg odrzuciwszy jego propozycję mojej współpracy z nim, za co zapowiedział mi zemstę.

Nie mogłem więc pokazać się w żadnym urzędzie po dokumenty. W Krosnej pozostałem do końca wojny, wracając tylko nocą, zmieniając lokale, lub przerzucając się czasem do wsi Wojakowa w sąsiednim powiecie, jednak nie przerywając nauki. Była ona prowadzona według przedwojennego programu dla szkół średnich ogólnokształcących w zakresie 4 klas gimnazjalnych, i 2 licealnych.

Chociaż materiału przynajmniej początkowo, nie skracano ani nie traktowano powierzchownie, przerabianie jednej klasy trwało najwyżej 7 miesięcy /zamiast 10-ciu/ – dlatego, że młodzież, widząc grozę i doceniając powagę chwili, bez nacisku pracowała z wysiłkiem sama. Nie traciło się czasu na zabiegi o utrzymanie dyscypliny na lekcjach. Nauczyciel specjalista czasem z konieczności zostawał uniwersalistą, ucząc prawie wszystkich przedmiotów, częściej – w miarę możności – następowała między dwoma nauczycielami o odmiennych specjalnościach

wzajemna wymiana zespołów klasowych do nauki przedmiotów humanistycznych lub ścisłych. Dawał się odczuć brak podręczników, jednak nie w tym stopniu co po wojnie. Czasem zachodziła potrzeba dyktowania wykładu, niektórzy z uczniów przepisywali całe podręczniki dosłownie, jeden kaligraficznie przepisał Zoologię, nawet i starannie przerysował ryciny.

W ciągu jednego dnia obsługiwałem zwykle 3 lub 4 zespoły każdy w ciągu około 3ch godzin. Dzienny porządek zimą wyglądał mniej więcej następująco: godz. 8-11 – zespół klasy IV, 3 lub 4 przedmioty podług podziału godzin, godz. od 11 – do 15 klasa I, od 15 do 18 kl. III. W miesiącach letnich szedł jeszcze czwarty zespół, nauka czasem trwała od godz, 6 rano do 20, a wtedy jak inni miewałem 10 – 12 godzin nauczania dziennie. Nauka ustawała tylko w niedziele i święta, nie było dłuższych wakacji świątecznych ani letnich. Wygląda to na przesadę i fizyczną niemożliwość, a jednak było tak możliwe. Zespoły uczniowskie były małe 2-8 osób, nauka mniej męcząca, a nerwy otrzymywały z zewnątrz potężne podniety, w kierunku twórczym. Niszczycielska zaciekłość wroga wywoływała u nas zaciekłość oporu i odwetu.

Wspaniała postawa duchowa młodzieży i jej zapał do nauki zapowiadały, że poza dzisiejszymi okropnościami idzie jakaś wielka i pogodna przyszłość. Powzięta na początku wojny zasada: Nil desperandum (Nie należy rozpaczać) w miarę rosnących niebezpieczeństw i beznadziejności – zwłaszcza po upadku Francji – została zastąpiona inną już niezłomną: Contra spem spera (miej nadzieję nawet w sytuacjach beznadziejnych). Nauczyciel widząc, że lada dzień może być rozstrzelany, nie zważał już na to, że nadmierną pracą starga zdrowie, chciał – póki żyje – zrobić jak najwięcej w myśl dewizy: Pracuj i pracuj, rób i rób. Ciebie – nie dzieło – skryje grób. Tak myślało i robiło wielu.